№ 49.

WARSZAWA

8 Grudnia

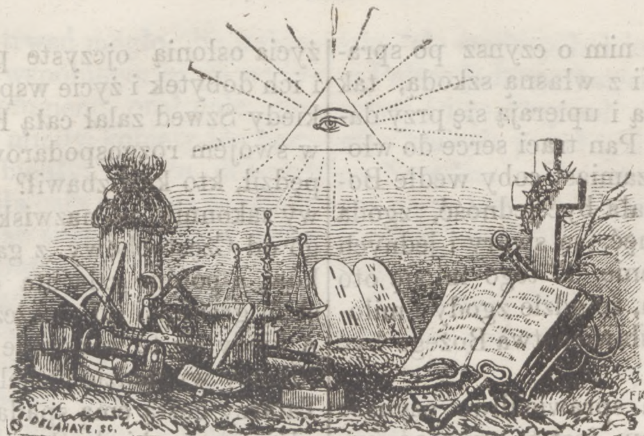
1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.



„*Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Opowiadanie o pańszczyznie.— Włochy VII. — Okolice Krakowa: Krzemionki z mogiłą Krakusa, Kopalnie gipsu pod Płazowem, Skołniki. — Różności: Szkółka niedzielna w Sterdyni, Nowa metoda uczenia czytania.*

Opowiadanie o pańszczyznie.

Boże, błogosław wszędzie ludziom dobréj woli,
a nam daj rozum z promienia mądrości Twojéj...

Kiedy dziś odzywam się ze słowem prawdy i żalu, to nie będę mówił o własnych frasunkach, ale o tém, co mnie od własnéj biedy gorzéj zajmuje i ciężéj na sercu leży.

A leży mi na sercu i gniecie mnie, jakby ciężki kamień, ta nieszczęsna niezgoda między włościaninem a panem, co się tak bardzo zagęściła między nami.

Téj niezgodzie, co prawda, już koniec przyjść musi, bo już przemija czas pańszczyzny, a wsie pójdą na czynsze i na okup gruntów. Może i mnie Bóg dozwoli za ciężkie strapienia doczekać się jeszcze tych czasów, kiedy nad włościaninem nikt przewodzić nie będzie, a każdy będzie panem na swoim kawałku ziemi, w czystéj będzie siedział chałupie z żoną i dziećmi, a z czeladzią będzie własne obrabiał pole, Jak jasność Bożą pragnę oglądać w niebie, tak na ziemi pragnę oglądać takie dni szczęśliwe dla włościan braci moich, i tylko mi się serce krwawi, że taką dolę opóźnia niejeden uporem i niewczesném mędrkowaniem. Prędzéjby przyszło do oczynszowania, a potém i do skupu, gdyby włościanin więcéj ufał panu, a nie dawał ucha tym, co mu bają o darowiznie całkowitéj, o odebraniu panom wszystkich gruntów, a rozdzieleniu ich między włościan.

Każdy, co choć trochę ma rozumu w głowie, pewno nie uwierzy takiemu bajaniu, bo cóżby to była za sprawiedliwość, żeby jednym odbierać, a drugim rozdawać, a nawet coby potém była za pewność, że z tego kawałka ziemi, któryby dziś odebrali panu, a mnie oddali, jutro mnie nie wypędzili, a komu innemu go nie dali. Jeden, drugi i dziesiąty pomiarkuje zaraz, że w takiém głupiém gadaniu i odrobiny prawdy nie ma. Ale zawsze gadanie takie bałamuci między ludźmi głowy i tak mąci, że nie wiedzieć potém komu wierzyć.

Wielu nie wierzy to niby takim mądralom, co o darowiźnie plotą, a przecie tak mają nabite nią głowy, że jak potém nie jeden dobry

pan chce się ułożyć z nim o czynsz po sprawiedliwości, a nieraz i z własną szkodą, tak niewierzą mu, zwlekają i upierają się przy dawném, choć gorszém. Pan traci serce do włościan, oni do pana, i zamiast coby wedle Bożéj woli na ziemi miała być jedność, zgoda i miłość, to jest niechęć, są swary i jednych na drugich powstawanie. Z tego mi się oto serce krwawi, bo wiem, że gdzie zgody i miłości nie ma, tam błogosławieństwa Bożego być nie może.

Nie przystawać na sprawiedliwe czynsze i na słuszne ceny skupu, jest to pragnąć cudzego. Przykazanie Boże wyraźnie tego zakazuje, kiedy powiada: Nie pożądaj ani domu, ani *roli*, ani sługi, ani służebnicy, ani wołu, ani osła, ani *żadnéj rzeczy*, która jego jest. Powtarzamy to codzień przy pacierzu, a jednak cudzéj roli pożądamy, bo kiedy nam ją oddają za niedrogie pieniądze, mówimy, że nie przystaniemy na taki czynsz, na taki skup, bo nam darmo dadzą.

Może myślicie, że panom darmo przyszła ta ziemia, którą teraz za małą opłatą chcą ustępować. Może nie wiecie o tém, że oni jéj w początkach nie nabyli pieniędzmi, tak jak wy teraz nabyć ją możecie, ale ją nabyli po największéj części i okupili krwią własną; to pewnoście nie słyszeli i o wielkich wojnach, co bywały przedtem w naszym kraju. Wiedźcie więc o tém, że od kilkanastu wieków Niemcy tak się tu do nas darli, że trzeba im było odbijać ziemię, zagon po zagonie, a na każdy zagon płynęła krew tych, co go bronili. Wiedźcie o tém, że późniéj waliła z dalekiego wschodu ćma tatarska, że ci poganie bez Boga w sercu, na ludzką krzywdę chciwi, byliby świat cały jak szarańcza obsiedli i spustoszyli, gdyby ich u granic Polskiéj ziemi szlachta polska nie była wstrzymywała i za naszą ziemię i za resztę świata nie zastawiła się przelewem krwi własnéj. Potém Turcy sprzysięgali się na zgubę Polskiego narodu, zbierali tysiące pułkow, a prowadzili je na nasze wsie i miasta, na grabież, łupieztwo, pożary, a szlachta polska zbrojna, szła przeciw nim na bój. Niejeden w krwawym boju położył młode życie, niejeden w gorszą od śmierci popadł turecką niewolę, w kraj świata zagnany, umierał z męki i tęsknoty, a na jego miejsce szli inni, radując się, że nadstawieniem własnego życia osłonią ojczyste pola i chaty kmiece i ich dobytek i życie współbraciom. A późniéj, kiedy Szwed zalał całą Polskę i w niéj się jak w swojém rozgospodarował, kto Szweda wypędził, kto kraj zbawił? Najprzód świątobliwy zakonnik, po nazwisku Kordecki, odpędził go od Częstochowy z garstką księży i wojaków, a potém szlachta odegnała go od polskiéj granicy i od nieszczęścia kraj wybawiła. A kiedy się te wszystkie wojny działy, kiedy Niemcy wygładzić chcieli polskie imię, kiedy Tatarzy gęstą ćmą spadali, kiedy Turcy grozili niewolą, kiedy Szwedzi sięgali po Polskie ziemie, czemu to jednak włościanie spokojnie mogli orać pole i spokojnie spać pod słomianym dachem swojéj chaty. Czemu?.. bo szlachcic zastawiał się za niego i za siebie, szlachcic siadał na konia, brał szablę i ciągnął w pole odpędzać wroga, co przyszedł po nieswoje. I nie ma pewnie piędzi ziemi w całéj Polsce, gdzieby krew szlachecka nie płynęła, więc mówię prawdę, kiedy mówię, że oni do téj ziemi za swoją krew mają jakieś prawo.

Mieli jednak i włościanie, czyli jak dawniéj mowiono *kmiecie*, prawo do onéj ziemi, ale je utracili, częścią przez własne lenistwo i obojętność na sprawy krajowe, a częścią i przez niesprawiedliwość niektórych panów, bo co prawda, to prawda. A jak stoi o tém wszystkiém w starych księgach, jak kmiecie prawo do ziemi tracili, opowiem wam z rzędu, żebyście sami na rozum wziąść mogli i sami sobie pomiarkować, czy panowie dziś chcą z waszą krzywdą, czy z waszém dobrem. Posłuchajcie więc zkąd to się wzięła szlachta, zkąd kmiecie i jak kmiecie wolni, czynszownikami, a potém chłopami pańszczyznianymi zostali.

—

Kto tylko piśmienny, a zna stare dzieje, ten łatwo doczytać się może, jak to za dawnych czasów bywało. Bywało tak przed wieki, że ludzie u nas rządzili się gminami, to jest, że nikt nie miał ziemi własnéj, ale ziemia wspólnie do całéj gminy należała. Gmina składała się z jednéj dużéj albo z kilku pomniejszych wsi, a przewodzili w niéj najstarsi z każdego rodzeństwa. Ci zbierali się na obrady, które *wiecami* nazywano, a co na takich wiecach starsi gminy uradzili, to cała gmina wykonywać musiała. Póki było ziemi dużo, a spokojność

w kraju, póty to tak trwać mogło, bo każdemu starczyło zagona wspólnego, co go wyżywił. Każdy szedł za pługiem, orał pole, hodował pszczoły, sycił miody; kobiety len przędły, płótna tkały i bieliły; święta dożynek i różne inne obchodziła cała gmina z weselem, pierwsze miejsce dając siwéj głowie i żyjąc szczęśliwie z darów Bożych.

Ale to szczęście mącić wrogi zaczęli. Niemcy co bliższe siebie polskie kraje, poczęli po kawałku urywać, a ludzi tępić, albo ich w swoich niewolników obracać. Składał się wtedy lud polski z różnych plemion: z Krakusów, Mazurów, Wielkopolanów i innych. Ci wszyscy ludzie jako rolnicy nie umieli dobrze bronią robić: bili oni tęgo Niemca, ale Niemcy posiadali sztukę wojowania, więc szło kmieciom o to, jakby się téj sztuki nauczyć. Pan Bóg był w tém na nich łaskawy. Oto właśnie z owych zagarniętych krajów brali Niemcy kmieci na wojnę i szykowali z nich wojaków, co się Lechami nazywali. Ale jak Lechom sprzykrzyła się ta wojaczka i niesprawiedliwe napady na cudze ziemie, tak pomyśleli sobie, jakby uniknąć tego, żeby ich Niemiec nie ciągał na wojnę. Nie było innéj rady jak uciekać od Niemca. Powiadają, że jeden z takich Lechów namówiwszy się z drugimi uciekł od Niemców i przyszedł do swoich rodaków, do Wielkopolski. Jedni mówią, że około Gniezna osiadł, a drudzy, że osiadł nad Gopłem jeziorem. Jak przyszedł ten Lech, to przemówił do tamtejszych kmieci: „Widzę, powiedział, że nie umiecie sztuki wojowania, ale ja i ci co ze mną przyszli, dobrze się na tém znamy; jeżeli każdemu z nas dacie po kawałku ziemi i dzieciom naszym na własność, to nietylko że was téj sztuki nauczymy, ale wam nawet będziemy przywodzić i własnym pokazywać przykładem, jak to trzebą sztuką zachodzić Niemca na wojnie.“ Jak te słowa usłyszeli kmiecie, chętnie się na nie zgodzili, dali każdemu z owych Lechów na własność po kawale ziemi, która się od tego czasu nazywała ziemią lechową albo *lechą*. Potomków zaś tych rycerzy, nazywano *szlachtą*, niby to że z Lechów się porodzili.

Wojna po wojnie nastawała, gminy sobie rady dać nie mogły, bo jedna tak, a druga inak radziła, jak co trzeba było robić. Niezgoda zaprowadziłaby cały lud do nieszczęścia, ale mądrzy ludzie doradzili, żeby obrać w Polsce jednego księcia, coby rządził krajem całym i i rozkazywał na wojnie. Zebrali się więc kmiecie przed tysiącem lat, bo roku 842 po Narodzeniu Chrystusa Pana, do Kruszwicy, co to leży w Wielkopolsce nad jeziorem Gopłem i wybrali sobie na księcia kołodzieja Piasta.

Ten książe Piast począł sobie roztropnie z ludźmi poczynać. Jak Niemcy nie przestawali wdzierać się w kraj Polski, a na powstrzymanie ich nie dosyć było Lechów, tak powiedział: „Oj jak widzę, trzeba coraz więcéj albo zwabiać do siebie Lechów, albo też takie prawo, jakie mają u nas Lechowie, nadawać innym kmieciom.“ I powiedział jeszcze: „Że kto chce spokojnie ziemię orać, niech ją wprzód obroni; kto żyje niech idzie w pole na Niemca z szablą, a jak go odegna od granic, niech dopiero spokojnie na to samo pole pójdzie z pługiem.“ I żeby tak wtedy był cały lud posłuchał mądrych słów książęcia, byliby wszyscy mieli poważanie jednakie i każdy byłby uszanował tę rękę, co jak potrzeba to bierze za oręż, a jak spokoj to pilnuje lemiesza. I gdyby wtedy byli wszyscy poszli się bić jak Lechy, byliby wszyscy przezwani szlachtą i nie mógłby jeden powiedzieć drugiemu: „Ja za ciebie się biłem, ty za mnie rób na moim zagonie.“ Ale nie darmo wam powiedziałem na początku, że kmiecie przez lenistwo to sprawili, że ich od szlachty odróżniono, bo na zawołanie księcia Piasta nie poszli wszyscy, tylko poszła część kmieci, a reszta została.

A kiedy wojny nie ustawały, a coraz więcéj luda z domu ruszyć się nie chciało, pomiarkował się książe Ziemowit, co po Piaście panował, że tak niesprawiedliwie i powiedział: „Poczekajcie, muszę ja tu inny ład wprowadzić,“ i wydał takie prawo, że kto nie chce należyć do szlachty, to jest z szlachtą iść na wojnę, to niech kolejką robi na polach tych, co na wojnę poszli i niech pomaga w pracy ich żonom i dzieciom, bo tak słusznie jest, że kiedy niechcą dać krwi, niech dadzą pracę. Jak się zaczęła robocizna jednych dla drugich, tak się też zaczęły i swary. Czasem szlachta na wojnie i rok bywała, a wtedy kmieciom przykrzyło się pracować na ich polu, pracowali niechętnie. Rycerskiéj znów kobiecinie, czyli szlachciance, przykrzyło się z niechęt-

nym ludem, narzekała przed mężem jak powrócił z wojny. Powstała niechęć, bo nie jeden szlachcic może i za wiele wymagał, a nie jednemu kmieciowi i tego się odrobić nie chciało, co było sprawiedliwe.

Jak nastał książe Mieczysław, co będzie temu lat prawie dziewięćset, jak Polskę ochrzcił, tak szlachta widząc, że nie ustają i nie ustają wojny, mówiła księciu: „My idziemy na śmierć i kalectwo, na tułaczkę i boje, a jak wrócimy do domu kalecy, potyrani wiekiem, albo i nie wrócimy wcale, to co będzie z naszemi żonami i dziećmi?" A książe im odpowiedział: „Nie frasujcie się szlachta, kiedy kmiecie nie chcą chodzić na wojnę, słuszna jest rzecz, żeby na waszéj roli w czasie wojny pracowali, a jak wrócicie znużeni do domów, żeby wam dawali zboże. I oznaczył na czas pokoju czynsze w ziarnie, albo jak wtedy nazywano *daninę*.

A od syna tego Mieczysława, który nazywał się Bolesław Chrobry, a pierwszy został królem Polskim z książęcia, w roku tysiącznym po Narodzeniu Chrystusa Pana, gorsze jeszcze nastało rozdwojenie między szlachtą a kmieciami, a gorsze dla tego, że przedtém choć nie wszyscy kmiecie na wojnę chodzili razem, to przecie który nie poszedł na jedną, to poszedł na drugą; a odtąd kmiecie znarowili się wszycy do pilnowania domu, tylko szlachta wychodziła na wojnę. Tak też król Bolesław potwierdził raz na zawsze, żeby kmiecie szlachcie dawali czynsze. Nie myślał pewnie ów król Bolesław krzywdzić kmieci, bo na cały świat był znany ze sprawiedliwości i wielkich czynów, ale jakże mógł zrobić inaczéj? Ludzi rycerskich potrzebował, bo wojny trwały, a jakby był ludziom rycerskim niezapewnił pożywienia, toby oni nie byli chcieli ani nawet mogli iść na wojnę, boby chyba były ich żony i dzieci z głodu marły i oni sami za powrotem głód cierpieli. Chociaż było takie prawo dawania czynszów, ale los kmieci mógł się polepszyć i wydobyć z pod téj dani. Bywały też zdarzenia, że niektórzy kmiecie przez wojaczkę byli przyjmowani do szlachty, tak samo jak i niektórzy ze szlachty, wystrzegając się wojny, zostawali kmieciami.

Takie urządzenie dawania czynszów szlachcie od kmieci, trwało przez kilka wieków, bo ze trzysta kilkadziesiąt lat, za panowania w Polsce różnych królów od czasu Chrobrego, jako to: za Mieczysława Gnuśnego, Kazimierza Mnicha, Bolesława Śmiałego, Władysława Hermana, Bolesława Krzywoustego i jego synów i wnuków; za Bolesława Wstydliwego, Władysława Łokietka. Aż wreszcie, będzie temu więcéj jak pięćset lat, kiedy nastał w Polsce król nad króle, zwany Kazimierzem Wielkim, a inaczéj królem chłopów. Trzeba wam wiedzieć, że wtedy jeszcze przed pięciu wiekami co innego znaczył chłop, a co innego kmieć, bo kmieć, jakeście zrozumieli, był to chociaż już na czynszu, ale jeszcze wolny człowiek; *chłopi* zaś powstali u nas z niewolników, których szlachta przyprowadzała z wojny do kraju i osiedlała ich na ziemiach swoich, a za darowane życie obowiązywała ich do robocizny ciągłéj na swoją korzyść. Nie pozwalała też im się przenosić z miejsca na miejsce, a przez to był to lud jakby przytwierdzony do ziemi i bardzo nieszczęśliwy. Otóż ten król Kazimierz Wielki, miał do chłopów ojcowskie serce. Każdy mógł trafić do niego z pożaleniem i skargą, a on po ojcowsku, sprawiedliwie we wszystko wglądał, szlachtę gdzie była ciężką dla chłopów surowo upominał, mądre prawa stanowił, których opieką, chłop się mógł od krzywdy zasłonić. A jaką miał miłość u ludu, to sobie z tego chociażby wymiarkować możecie, że jak już oczy zamknął z żałością całego kraju, jak go już w trumnie złożono w Krakowie na Wawelu, gdzie są groby prawie wszystkich królów polskich, jak go tam w grobie zamurowano, to chłopi, jeżeli byli w czém pokrzywdzeni, szli na ten grób i z płaczem żalili się zmarłemu królowi, jak niegdyś żywemu. A było nieraz czego zapłakać, bo odtąd ciężka zaczynała się dola.

(Dokończenie nastąpi.)

WŁOCHY.

VII.

Dziwne to więc i smutne, choć pokaźne i ciekawe widowisko przedstawiały ze siebie Włochy, przez owe wszystkie czasy chrześcijańskie aż oto do dni naszych. Ziemia na świecie najpiękniejsza i wszystko obficie rodząca, pełna zboża, wina, oliwy i owoców przednich;

lud rozumny i przebiegły, a w różnych naukach i sztukach zdawna ćwiczony i doskonały, gdzie najpierwsi po szkołach nauczali mistrze, a młodzież z najdalszych krajów do nich się zbiegała, gdzie w fabrykach i warsztatach najwyborniejsze sprzęty i naczynia, sukna i materye, axamity i bławaty, szkła i zwierciadła, toż misterne złote i inne drogie ozdoby wyrabiano, gdzie tyle było miast ludnych i wspaniale zabudowanych, a handel na wszystkie strony po lądzie i po morzu prowadzących, —a tymczasem nie było narodu co się zowie, nie było pospolitéj obrony od cudzéj napaści, nie było ducha pokrewnego i braterskiego, nie było żadnéj zgoła jedności. Wszystko się jakoś drobiło i rozróżniało; w każdym kącie inaksze myśli, inaksze cele i zabiegi.

Stary i sławny Rzym poczytywał się za najpierwszy gród w chrześcijaństwie, jako była to papiezka stolica i najwyższe się tam rządy kościelne na wszystek świat sprawowały. Tysiące tam rok rocznie przychodziło zewsząd pobożnych pielgrzymów, na uczczenie relikwji świętych apostołów Piotra i Pawła i tylu innych męczenników, i nadziwować się nie mogli mnogości i wspaniałości kościołów, co je z pogańskich niegdyś bóżnic na chwałę prawdziwego Boga obrócono, i niezmiernym onym, ze starożytnych rzymskich czasów, gmachom i budowaniom, co imperatorów pamiętały, a choć się poniszczyły i rozwalały w części, to jeszcze znać było na nich przepych wielki i dzielność i sztukę dawnych panów, którzy to stawiali. Bogacił się też Rzym nanowo z ofiar i datków różnych, nietylko od pielgrzymów, ale i od wszystkich wiernych, a zwłaszcza od duchowieństwa wszystkich krajów. Powaga papieżów osobliwa była, od wieku zwłaszcza trzynastego począwszy, tak u monarchów i książąt, jako też u całego chrześcijaństwa. Nie było sprawy większéj w najdalszym kraju, gdzieby się która strona na papiezkie sądy nie oddawała, a papiezki poseł czyli legat przyjmowany był na równi z królami. Cały świat mieli papieże na oku, i wszędy rozciągała się ich opieka ku rozszerzeniu wiary i utrwaleniu Kościoła; ale w samych Włoszech nie łatwo im się było użyć z sąsiadami: waśnie zdarzały się ustawiczne, to z Wenecką rzecząpospolitą, to z Medyolańskim księciem, to z Neapolitańskim królem, to z Florencyą, to z poddanemi miastami. Był tedy Rzym stolicą chrześcijaństwa, ale stolicą Włoch nie był; ojczyzna to była katolicka, ale nie ojczyzna włoska.

Wenecya rosła w bogactwa i zamożność niesłychaną, a to głównie przez handel morski i przez fabryki. Lud to był nadbrzeżny, do okrętów i żeglarstwa najwcześniéj w Europie zaprawiony, puszczał się śmiało na dalekie morza aż do Azyi i Afryki, i wszędy towary ładując i rozwożąc, niezmierne ztąd ciągnął zyski. Przez wiele wieków po Karolu Wielkim nie było kupców nad tych Wenecyan, dopóki się też późniéj i inne miasta i narody do handlu i do żeglowania po morzach nie wzięły. Za odwagą i za bogactwem przyszła i siła: nietylko mnóstwo okrętów zbrojnych trzymała Wenecya, ale się też i w wojsko z czasem zaopatrzyła, to ze swoich mieszkańców, to więcéj zkąd inąd ochotników werbując. Więc zaczęli ci kupcy potrosze wojować; różne na morzu wyspy wpobliżu i daléj zabierali, magazyny tam swoje mieli, fortece budowali i porty dla bezpieczeństwa okrętów swoich; a ludność co na tych wyspach była, musiała im w poddaństwie służyć. Za czasem rozszerzyli się Wenecyanie i od lądu, zdobywając sąsiednie ziemie, księstwa małe i miasta Włoskie jedno po drugiém, tak że już z tego nakształt królestwa potencya urosła, bo blizko połowa Włoch północnych do Wenecyi należała. Zaczęli też na nią zważać i cesarze i królowie i papież, i dbać o przyjaźń tych handlarzy, co umieli i orężem i złotem wojować, gdzie jak było snadniéj. Rządy weneckie sprawował senat z najstarszych i najbogatszych osób; była to jakoby szlachta miejska, czyli *patrycyusze*; oni sami urzędy wszelkie sprawowali, nad wojskiem i nad okrętami i nad poddanemi wyspami, ziemiami i miastami przełożeństwo mieli, a krom nich nikogo z narodu nie dopuszczano. Senat dopiero wybierał z pomiędzy siebie starszego, który był nad wszystkiém naczelny i zwał się *Doża*. Obierano tego Dożę na całe życie; przyczem był taki obrządek, że wypływał ten dygnitatz na wspaniałym, złoconym okręcie na środek morza i pierścień swój z palca zdjąwszy w wodę ciskał, na zawsze morzu go oddając, jakoby na zaręczyny; to miało znaczyć, że morze do Wenecyi należy, właśnie jak narzeczona i zaręczona panna.

Cudne bo też miasto ta Wenecya, jak drugiego podobnego nie ma. Powstało ono w owe ciężkie czasy, na schyłku starego cesarstwa Rzymskiego, kiedy hordy różne, a zwłaszcza okrutne Hunny, Italię plądrowały. Chronili się od nich mieszkańcy na błotne wybrzeża i wysepki Adryatyckiego morza, gdzie iż trudno się było budować i mieszkać śród wody, więc dla suchości pokopali na wszystkie strony kanały, do których woda pościekała i te są kanały między budynkami zamiast ulic. Chodniki tylko wzdłuż domów porobione, a zresztą wszyscy tam czółnami jeżdżą, zamiast wozów i pojazdów; na poprzek ulic mnóstwo mostów pięknych i wysoko rzuconych się wznosi. Miasto wygląda jakby nawpół w wodzie zanurzone, a domow, pałaców i kościołów pysznych mnóstwo; mieszkania obszerne, wspaniałe i ozdobne; wszędzie marmury, alabastry, rzeźby i pozłoty, że i dziś nawet pod ciężkiemi austryackiemi rządami, choć owe dawne bogate familie weneckich panów popadały, i nie ma kto w pałacach mieszkać, choć handel niewielki, i zubożało wszystko i znacznie się poniszczyło, to jeszcze jest na co popatrzeć.

W wieku już dwunastym, pod koniec, to jest lat temu blisko siedmset, potrafiła się Wenecka rzeczpospolita od zwierzchności niemieckich cesarzów uwolnić; bo w morzu jakby siedzącą nie można było z lądu dostać, kiedy i armat jeszcze nie znano, a okrętów cesarze nie mieli. Więc już w następnym trzynastym wieku, złączywszy się Wenecyanie z Francuzami, i innymi Włochami, robili walne wyprawy na państwo Greckie, przewozili wojska przez morze i nietylko dobrą za to brali zapłatę, ale jeszcze i ziem różnych, wysp i portów dobrych w Grecyi nazdobywali. Później, kiedy cesarstwo Bizantyńskie czyli Greckie zostało przez Turków zawojowane, nie zlękli się Wenecyanie i Turków, choć to straszna była wtedy siła; owszem często z drugiemi chrześcijańskiemi narodami, a czasem i sami poganom się tym opierali; a lubo dalsze i większe zdobycze utracili, przecież zostało im dużo wysp i całe wybrzeże wschodnie na Adryatyckiém morzu. W różnych też wojnach i zwadach między Niemcami, Francyą, Papieżem, Hiszpanią i innemi wielkiemi państwami, zawdy prawie Wenecya dla okrętów swych i wielkich dostatków dużo znaczyła, to z tym to z owym trzymała, jak jéj wypadło na większą korzyść. Byli Wenecyanie dla swéj rzeczypospolitéj gorliwi i miłujący: mężnie dla niéj i hojnie wszystko czynili i chlubę ztąd mieli; ale tak sobie tę małą Wenecką ojczyznę uczyniwszy, o wielkiéj ojczyźnie Włoskiéj nie myśleli zgoła.

Późniejsza od Wenecyi, a we wszystkiém niemal do niéj podobna, była Genua, handlowne i bogate miasto, po drugiéj stronie północnéj Italii, nad Śródziemném morzem zbudowane, z pięknego położenia i klimatu, z wielości najwspanialszych gmachów i śmiałości żeglarzy swych słynące. Genueńczycy nie ustępowali w niczém Wenecyanom: dzielni i odważni na morskie podróże i kupieckie przemysły, czynili też zdobycze po dalekich brzegach i handel swój szeroko rozpostarli, bo aż na Czarném morzu, w Krymie, miewali swoje osady i składy. Urządzenie swoje miała Genueńska rzeczpospolita prawie takie same jak i Wenecya; tylko starszyzna jéj ludzka była i łagodna i w takiéj surowości narodu i poddanych nie trzymała. Nie mogła wszelako Genua do takiéj dojść siły i panowania, żeby z Wenecyą w równości zawsze się trzymać; bo już położenie miejsca inne było i inne sąsiedztwo: z jednéj strony była tu potężna Francya i Hiszpanja niedaleko, a z drugiéj Piemonckie księstwo, znaczne dosyć, gdzie książęta baczni byli zawsze i sprawni, a lud posłuszny i bitny, a miast osobnych i drobnych panków nie było. Więc się tu tak jako Wenecyanom nie było gdzie bardzo rozszerzać, zwłaszcza że i Genua sama na lądzie stała, a nie na wodzie; mógł tam łacniéj i Cesarz dosięgnąć i Francuzki i Hiszpański król, którym, choćby i z okrętami, daleko było do Wenecyi, i dostąpić ciężko, w samym końcu długiéj i wązkiéj odnogi Adratyckiéj, kiedy Genuę nad szerokiém morzem Śródziemném tuż obok mieli.

Chluba jest wielka tego miasta, że ztamtąd był rodem ów wiekopomny Krzysztof Kolumb, mąż uczony i pobożny, a żeglarz znamienity, który to sobie obliczył i do tego doszedł, że prócz Europy, Azyi i Afryki, jeszcze musi być po za morzami wielki ląd; bo niepodobna jest, żeby tak większa połowa ziemskiéj kuli pod wodą była. Więc puściwszy się na okręcie, dopóty płynął on wciąż na zachód, aż natrafił na

nową i ogromną część świata, to jest Amerykę, o któréj przedtem nikt na dawnym świecie nie wiedział. A stało sie to w wieku piętnastym od Narodzenia Pańskiego, czyli lat temu około czterechset.

Ale o handle i zyski kupieckie, o morskie zdobycze i różne korzyści, o sławę zresztą i pierwszeństwo, ciągła była między Genuą i Wenecyą zawiść i nieprzyjaźń: jedni przed drugimi ubiegali się, jedni drugim co mogli psuli i na siebie wzajem nastawali, jak gdyby całkiem zapomnieli, że byli Włosi, rodacy, dzieci jednéj ziemi. Ci tylko za swoją Genuę, a tamci za swoją Wenecyę; za Italię żaden.

Wspaniałą też i sławną była Florencya, przez długie czasy miejskie swoje rządy mająca, a później książęce. Procz jedwabnych i innych przemysłów i znacznego też handlu, słynęło osobliwie to miasto uczonymi ludźmi i mistrzami w różnych przedziwnych a trudnych kunsztach, jako jest malowanie, rzeźbiarstwo, budownictwo; i nigdzie zaprawdę na świecie tylu doskonałych na te rzeczy nie znajdowało się artystów, co we Florencyi. Nie brakowało ich wprawdzie i po całéj Italii, a zwłaszcza w Rzymie i Wenecyi i Bolonii i we wszystkich znaczniejszych miejscach; bo Włoski naród już tak z natury i z dawnego upodobania swego i ćwiczenia szczególnie do tych ozdobnosci jest usposobiony, a więcéj jeszcze do śpiewania i muzyki: cały świat tego się tam od nich uczył. Nie masz tam i kościołka wiejskiego bez pięknych obrazów, a po miastach to jedne od drugich piękniejsze. Jak z marmuru albo innego kamienia fignrę wyrzeźbić, jak pałac pyszny, albo dom boży kształtnie wystawić i przyozdobić, jak ogrody pańskie urządzić, jak uczenie zaśpiewać i na wszelkich instrumentach wygrywać,— do tego wszystkiego zawsze Włosi najbieglejsi bywali; nietylko u siebie, ale i po obcych krajach jeżdżąc tém się zatrudniali, i po to od monarchów, książąt i panów i od duchownych osób umyślnie za drogie pieniądze bywali sprowadzani i dużo też wszędzie, i u nas w Polsce, gmachów wspaniałych i kościołów pobudowali.

Nie skończyłoby się tu podobno, żeby chcieć wszystkie cudności włoskiego kraju wyliczać i opisywać, a choćby też i znaczniejsze tylko grody i księstwa i ziemie, jako Medyolan, co jest najpierwsze miasto w Lombardyi, i Bolonję i Padwę ze starodawnemi akademjami i kościołami, i Mantuę i Weronę i ludny a piękny Neapol i Kapuę i Sycylję wyspę: grube o tych krajach i ciekawe są księgi popisane, to się tam kto zechce naczytać tego i dowiedzieć może. Przez ciąg wieków tylu, od państwa Rzymskiego aż do ostatnich naszych czasów, sławna była zawdy i głośna Italia, i mężów miała znamienitych, i w każdym tam kącie osobliwe i znaczne działy się sprawy; ale do tego się rozumy włoskie nie garnęły, żeby o jedności ojczystéj narodu całego, jak jest wielki, troszczyć się i zabiegać. Wszędy tylko za blizkiemi korzyściami uganiano się, a daleko i obszernie rzeczy krajowych nie rozbierano. U każdego ojczyzna była we własném mieście i tu cała gorliwość; w Rzymie o kościelnych rządach miano staranie; Wenecya o potędze i dostatkach swoich przemyśliwała; Neapolitańskie królestwo wciąż prawie cudzą miało opiekę, tak jak i Lombardya; inne włoskie książęta i książątka dbały tylko o siebie i swoje familie, oglądając się na niemiecką, francuzką lub hiszpańską łaskę; lud wiejski i po miastach pracujący nie dosięgał rozumieniem swojém wielkiéj sprawy ojczystéj, bo mu starszyzna tego nie pokazała: żył sobie rad na swojéj pięknéj ziemi dla chleba i dla zabawy, przyzwyczaiwszy się już do tego, że obcy to zawsze mocniejszy. Czasem chyba zdarzali się męże serca smutnego, co rozmyślali o dawnéj wielkości rzymskiéj i o mocy i męztwie, jakie Italia wonczas miała: lecz takich niewielu było i nikt ich nie słuchał.

Wrócimy się zatém do dalszéj powieści, przez jakie jeszcze koleje aż do dziś dnia Italska ziemia przechodziła.

Okolice Krakowa.

Krzemionki z mogiłą Krakusa. — Kopalnie gipsu pod Płazowem.— Skotniki.

—

Zaraz za miasteczkiem Podgórzem, które jest jakby przedmieściem Krakowa, a oddzielone jest od niego Wisłą, na któréj piękny most zbudowano, rozciąga się pasmo gór, zwanych *Krzemionki*. Góry te składają się z kamienia wapiennego białego, w którym rozrzucone są

krzemienie w postaci kulek, gdy się je rozbije, pokazuje się w środku mnóstwo drobnych połyskujących kryształków minerału, zwanego kwarcem, przezroczystego jak najczystsze szkło, ale tak twardego, że szkło rysuje. Skały wapienne ciągną się pasmem od zachodu ku wschodowi; często można w nich napotkać skamieniałe muszle, gąbki i zwierzątka morskie, przekonywające, że tutaj, gdzie dziś ludzie mieszkają, gdzie stolicę królów polskich zbudowano, dawnemi bardzo czasy woda morska wszystko zalewała.

Na szczycie góry, do tego pasma należącéj, wznosi się starodawny pomnik z ziemi, nazwany *Mogiłą Krakusa*, pokrywający grób założyciela miasta Krakowa. Kopiec ten obecnie mniejszy jest od kopca Kościuszki, ale można sobie wyobrazić jak musiał być kiedyś ogromnym, wziąwszy na uwagę, jak on to już dawno istnieje, kiedy najstarsze książki nie wspominają o tém, kiedyby miał być usypanym. Stoi już zatém pewno około tysiąca lat, a przez czas tak długi musiał się bardzo dużo obsunąć i zmniejszyć. Rząd austryacki, który Kraków zamienia w fortecę, nie zwracając uwagi na zachowanie starych naszych pamiątek, drogich sercu każdego Polaka, otoczył mogiłę Kościuszki murem, i na Krzemionkach również powznosił mury forteczne; a więc dzisiaj nie można tak swoboonie jak dawniéj odwiedzać miejsc tych, których zwiedzenia żaden z rodaków bawiących w Krakowie nie pomija. Podanie o mogile Krakusa utrzymuje, że po śmierci ukochanego księcia Krakusa (który żył około r. 700 po Chrystusie, a zatém przed 1000 laty), zasmuceni Polacy, chcąc zmarłemu wznieść pomnik wieczysty, nosili w szerokich, jakie podówczas noszono, rękawach ziemię, i z téj kopiec usypanym został.

Do dziś dnia w trzeci dzień Wielkanocy (we Wtorek) na Krzemionkach zbiera się mnóstwo ludu: majętniejsi zakupują całe stragany z bułkami, obwarzankami, piernikami, jabłkami, orzechami; ubożsi robią choć małe zapasy za kilka groszy i przyniesione tutaj pożywienie rzucają z góry chłopakom, zalegającym całe wzgórze, którzy, podług tego jak im dogodniéj chwytać, wykrzykują donośnym głosem: „Górą panaczku, dołem panaczku,“ a dobijając się o zdobycz, nieraz sami koziołkując za bułką lub jabłkiem, na dół spadają; to czego zwinni chłopcy w biegu z góry na dół nie pochwycą, dostaje się żebrakom, którzy za ciężcy do spinania się po górze, tutaj cierpliwie oczekują, a za to przechodzących drogą, głośnemi pacierzami, pieśniami i lamentami o jałmużnę dopraszają. Obchód ten nosi nazwę *Rękawki*.

Niedaleko mogiły Krakusa, znajduje się mały kościołek pod wezwaniem Śgo Benedykta, w którym nabożeństwo odbywa się tylko kilka razy do roku, a opodal znajduje się cmentarz, na którym jest grób poległych w 1846 roku.

Pomiędzy skałami Krzemionek, pokazują miejsce zwane *szkołą Twardowskiego*, gdzie ten czarnoksiężnik, za jakiego dawnemi czasy uważano tego uczonego, miał miewać z czartami narady.

(Dokończenie nastąpi.)

Różności.

W miasteczku Sterdyni, w powiecie Siedleckim, nauczyciel p. Rudkowski, zaprowadził przy szkółce elementarnéj. od lat kilku istniejącéj szkółkę niedzielną, do któréj uczęszczają gospodarze, parobcy, a nawet kobiety zamężne. Dobrze byłoby, gdyby inni nauczyciele naśladując p. Rudkowskiego, do otwierania szkółek niedzielnych przystąpili, z których niemały pożytek dla oświaty narodowéj nastąpi.

— Pan Franciszek Krynicki, niegdyś nauczyciel w polskiéj ochronce w Irkucku, w Syberyi, przez tamtejszego proboszcza, zacnego księdza Szwermickiego, założonéj, wynalazł praktyczną metodę uczenia czytania, jaką niektórzy obywatele z Hrubieszowskiego wydać zamierzają.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 8 Grudnia 1861 roku.